Rozmaitości

Dnia 6. maja Ner. 18. 1831 roku.

Sztuka pisania.

Anekdota prawdziwa, z angielskiego.

Młody Anglik Wiliam Marinar był jednym z tych niewielu, którzy w roku 1807, podczas rozbicia się okrętu *Port au Prince*, od mieszkańców wysp Tonga czyli przyjacielskich (leżących między 202° 15′ 3″ wsch. długości i 21° 11′ południowéj szerokości) w niewolą wzięci zostali. Sprzykrzywszy sobie jednak w krótce życie między dzikimi wyspiarzami, napisał list, zawierający opisanie swoich przypadków, i adressował go do każdego Anglika w ogólności. Papiéru na list ten przypadkiem dostał od jednego wyspiarza, który ukradł go był na jakowymś okręcie, a jeden z naczelników przyległéj wyspy Mafanga, gdzie najczęściéj lądują europejskie okręty, przyobiecał mu oddać ten list kapitanowi piérwszego okrętu, który przybędzie. Królowi Finow, u którego służył i od którego nawet dosyć był lubionym Wiliam, doniesiono o tym liście, i wyłożono, iż w nim Marinar wzywa zemsty Europejczyków nad mieszkańcami wysp przyjacielskich za zamordowanie swych towarzyszy. Natychmiast król podstępnie stara się o dostanie w ręce onego listu — co gdy mu się udało, poczyna go z ciekawością na wszystkie strony oglądać, nie mogąc pojąć jakim sposobom ten płatek mogłby mieć władzę uwiadomienia Europejczyków o tém, co mu powiedziano? — Każe innego przywołać do siebie Anglika i pyta go, co znaczy ten list? Ten, rozważywszy dobrze treść jego, oświadczył, iż tu biédny Marinar tylko donosi o miéjscu pobytu swego, o swojéj i swoich towarzyszy niedoli i prosi o wstawienie się zanim do króla Finow, by dozwolił im wrócić do ojczyzny. Tak upiększona treść listu nie rozgniewała bynajmniéj króla, owszem nic dziwnego w tém nie znajdował, iż ci biédacy pragną do ojczyzny, rodziny i przyjaciół powrócić — lecz to udzielanie myśli przez listy nie mogło pomieścić się w głowie n. panu. Wziął powtórnie list w ręce, oglądał go, myślał długo, lecz nie mógł sobie nic wytłómaczyć. Przywołać nareście kazał Wiliama i zlecił mu by co napisał. Na zapytanie tegoż »cobyto być miało?« odwiódł: »napisz mnie!«— Uskutecznił to Wiliam a król kazał mu odejść, a przywołanemu drugiemu Anglikowi przeczytać. Gdy tenże wyraźnie przeczytał Finow, niemógł król przyjść z zadziwienia do siebie. »Jako? rzecze: jażbym to być miał? a gdzież twarz moja, gdzie nos mój, gdzie moje oczy?« mówi w patrując się w pismo »jakżeś mię poznać zdołał?— usiłował w prawdzie Anglik wyłożyć królowi tę tajemnicę, lecz Finow pojąć jéj nie mógł, jednak przez kilka godzin próby swe z Anglikami powtarzał, czém i sam siebie i cały dwór wielce ubawił, bowiem Finow dowcipny i zalotny, częstokroć Wiliamowi miłosną awanturkę któréj z przytomnych kobiét podszepnął— a tak zdumienie wszystkich się powiększało. Finow, który już od dawna o książkach

i pismie czarodziejstwa miał wyobrażenie, teraz mniemał się w tym zupełnie potwierdzonym i jednę tylko jeszcze, do zupełnego przeświadczenia się, przedsięwziął próbę. Rozkazał Marinerowi napisać jednego z naczelników przyległych wysp, zwiącego się Tarky, który był slepym na jedno oko, a którego ni Wiliam ni towarzysze jego nigdy nie widzieli. Gdy inny Anglik wyczytał Tarky, pytał się król: »czy slepym jest ten Tarky, czy nie?« — To była troszkę za ostra próba sztuki pisania. Lecz Wiliam oświadczył iż gdy sam o tém wiedzieć będzie, wyrazi to znakami i każdy inny to wyczyta. Wielkie było zadziwienie, gdy dowiedziawszy się od króla napisał, a drugi wyczytał: Tarky slepy na lewe oko. Gdy Marinar królowi wszystkie skutki i korzyści sztuki pisania wykładać począł, oświadczył Finow nareszcie chęć sam nauczenia się tych czarów, co omal nie zniweczyło najmilszych Wiliama nadziei, gdyż przedsięwziął ktemu celowi do śmierci na wyspie go zatrzymać. Lecz szczęsny traf uwolnił go; bo gdy z dwoma jeszcze dworzaninami króla przechadzał się raz nad brzegiem morza, ujrzał zdala okręt, dał znak, a gdy dwaj towarzysze jego ucieczce się sprzeciwiali, ubił jednego, drugiego zaś podobną groźbą zmusił, iż na własném czółnie odwiózł go do okrętu, zkąd, udarowanego od kapitana, nazad go odesłano.

Drzewo upasowe.

(Powieść z angielskiego Dawida Lyndsay.)

(Dokończenie.)

Modlitwy dobrego Muleja i jednostajny tentent rumaków przerywały jedynie ponure milczenie podróży naszéj. Zulejka nic nie mówiła, ale przez ciemne szkła, blask oczu jéj zasłaniające, dostrzegłem, że patrzyła się na mnię. Milczałem nic nieodpowiadajac na słowa pociechy kapłana, albowiem rozmyśliwałem nad możnością ucieczki. Wiedziałem,że szybkość nóg moich, nawet z Zulejką na ręku, byłaby mię w krótce zaniosła za obręb pałaszów straży, ale gdym pomyślał o strzałach napuszczonych jadem drzewa upasowego, gdym sobie przypomniał męczarnie owego nędzarza, którego sam widziałem na ranę taką umiérającego, postanowiłem oczekiwać spokojnie oddalenia się żołniérzy i potém dopiéro przez góry w daleką uciéć pustynią. Kapłan musiał zgadywać, co się działo w mojém wnętrzu, bo szepnął mi do ucha: »Nie marz nieszczęśliwy Abdallo o innéj nadziei ujścia niebezpieczeństwa, krom téj, jeźli powrócisz od drzewa. Okolica naokoło jest ze wszech strón nieprzystępną, wyjąwszy jednę stronę, a ta tak dobrze strzeżoną jest przez żołniérzy sułtana, że gdybyś przypadkiem chciał uciekać, strzała, do twego serca puszczona, byłaby pierwszém hasłem twéj zguby. Skały piętrują się na skałach dla zaparcia téj doliny przekleństwa i dla przeszkodzenia, by śmiercią grożące wyziewy jéj z głębi nie wznosiły się ku niebu i dymem piekielnym nie zatruwały życia szczęśliwszéj ziemi. Przeto Abdallo nie zatrzymuj się w podróży twojéj, ale pospieszaj podług rady i kierunku, który ci dałem.«

Usłyszawszy wyrazy te zapadłem w ponure zamyślenie, bo wiedziałem że gdyby tylko najmniéjsza jaka nadzieja ucieczki znajdowała się, on byłby mi jéj pewnie nie odbiérał. Chata jego była o sześć mil od drzewa, a obowiązkiem jego było milę nas podprowadzić, aż na miéjsce, gdzie się rozpoczynało państwo niebezpieczeństwa i śmierci.

Miéjsce rozłączenia się było u stóp obnażonéj skały, przez któréj szczyt ciągnęła się jedyna do doliny droga. Kazano nam wydrapać się na skałę i zapowiedziano, że po drugiéj stronie znajdziemy rzéczkę, któréj kierunek, po wędrówce mil pięciu, miał nas do drzewa upasowego zaprowadzić. Powtórzono więc raz jeszcze cośmy mieli czynić i pośród błogosławieństw kapłana, tudzież życzeń wojowników, zaczęliśmy wdzierać się na wzgórze. Zulejka wzięła mię za rękę i z wolna drogą postępowaliśmy. »Kochanku duszy mojéj« rzekła moja droga małżonka »jesteśmy umarłymi dla świata, duszami oswobodzo-

némi, które pielgrzymują do nieba. Chciałabym chętnie ujrzeć twarz twoję, dostrzegać zmiany kolorów na twojém obliczu, ale ta okropna maska przeszkadza mi w tém. Jakże łagodnie i chłodząco powiewa tu wietrzyk, odkąd na to wzgórze weszliśmy; zaiste, nie może tu być niebezpieczeństwa, a gdyby i było, możeż śmierć być okropną, która usypia tym sposobem?« —»Zulejko« odrzekłem »wiatr wieje przed nami i możemy jeszcze być ocaleni; ale gdyby się odmienił i ku nam powiewał, zawsze — choćby nawet był łagodnym i miłym — tylkoby nam śmierć straszliwą przynosił.« — »Jako! tak przyjemny powiew nieba miałżeby niebezpieczeństwo przynosić?«— »Gdyby wichry burzliwe mogły się przedrzeć przez te niedostępne skały, bez wątpienia truciznę wydarłyby z łona ziemi, lub przynajmniéj zmiéjszyły by moc wyziewów zaraźliwych. Ale kochana Zulejko pojrzyj w dolinę, tam gnuśnie i ponuro, mdłe zwierciadło zachodzącego słońca, płynie rzeka, za któréj kierunkiem iść musimy. Rzuć okiem na drogę naszę, jest to puszcza czarnego piasku, kamieniami okryta. Ach! gdybyś sobie tylko twojéj delikatnéj nóżki nie zraniła!«

Widok puszczy, przez którą przechodzić mieliśmy, był okropny oku i zgrozą przenikajacy serce. Blizko wstępu do doliny ujrzeliśmy kilka małych niedołężnych drzewin, które na próżno usiłowały wznosić czoła swoje do góry i opierać się przekleństwu przyrodzenia. Krzewy naokoło nich rosnące były karłowate i podarte, jak gdyby piorun przeleciał je w gniewie swoim, lub obłok ognisty, niszcząc, przesunął się przez nie. Tu i owdzie z gruzu kamiennego wydobywała się pożółkła przepalona trawa, słabe wierzchołki swoje chyląc przed powiewem najmniejszego wiatru, poruszającego zaledwo uploty czarnych włosów Zulejki. Biada — w saméj istocie — byłato trunna życia. Posępnie toczył się strumień po téj nieżyznéj płaszczyźnie; pojrzeliśmy w jego odmęty, ale nic żyjącego nieprzerwało panującéj w nich ciszy. Niewypowiedziana przeraziła mię trwoga, gdym uwagi te już w początku podróży czynił. Drzące serce moje czuwało nad każdym najlżejszym nawet powiewem wiatru, wiał na przeciw drzewu, przeto zawsze jeszcze ufałem cokolwiek.

Wiele już uszliśmy nie patrząc wcale na siebie, bo maski śmierci okropne były oczom naszym; ale ręką objąłem kibić kochanki duszy mojéj i uważałem na krok jéj każdy.

»Nie mogę czytać w oczach twoich co czujesz« rzekłem nareszcie »ale proszę cię mów do mnie choć cokolwiek, ażeby ton głosu twojego przekonywał mię o zdrowiu twojém.«— »O mój kochanku« odrzekła »moje wszystko; nie obawiaj się o mnie, jestem duchem, posłannikiem miłości, któremu trucizna ziemi nie zaszkodzi. Jeźli chcesz zaśpiéwam ci kochanku, zaśpiéwam piosnkę, którą niegdyś uradowane ucho twoje słyszało w pałacu mych ojców, a którą w samotnéj chacie naszéj zdrajcy przerwali. Posłuchaj małżonku, pieśń moja wzmocni ducha twojego, a jéj czarowność rozpacz od ciebie oddali.» Jéj głos zabrzmiał pośród pogorzeliska zniszczonego świata!— Słuchałem, lecz rozkosz moja zamieniła się w krótce w trwożliwą baczność, którą śledziłem ton każdy, z ust jéj wychodzący, ażeby żaden głos drzący, żadna oznaka zbliżającego się osłabienia, nie uszłą uwadze mojéj.

Wtém nowy i niezwyczajny ton przerwał ciszę dziko leżącéj doliny. Dotąd słyszeliśmy tylko martwy pomruk zatrutego strumienia, ale głos teraz usłyszany, był wcale innego rodzaju. Byłto szmer podobny, jaki powstaje na morzu, gdy najlżejsze jego bałwany, od skał brzegów odparte, do łożyska swego powracają. Zatrzymałem się, ażeby słuchać. »Sami wszakże jesteśmy w puszczy« rzekłem »z kądże ten szmer pochodzi?« i z trwogą w około siebie pojrzałem.— Dostrzegłem z przerażeniem, że nas gadzina ogromna ścigała i doganiała już prawie. Chcąc ujść jednego niebezpieczeństwa, postanowiliśmy wystawić się na inne i zdjęliśmy obrzydłe maski. Oblicze Zulejki znowu mi więc zajaśniało, ale obawa o jéj życie przerwała chwilowe uniesienie; wziąłem ją za rękę i

zaczęliśmy spieszno uciekać. Lotem błyskawicy spieszyła gadzina za nami; widziałem jak pierścienie jéj różnobarwnie w słońcu błyszczały; pieniła się wznosząc w górę grożącą paszczę swoję i szyję, łuską okrytą, jak gdyby gniewała się, że tak słabe istoty jéj chęciom oprzéć się śmieją. Zbliżyła się ku nam. Zulejka już ustawała, a gadzina tuż była za nami. Porwałem na ręce moję lubą małżonkę i znowu kawał z nią ubiegłem. Gadzinę dziwić musiała to natężenie sił naszych, gdyż z mniéjszą szybkością pospieszała za nami. W chwili téj niebezpieczeństwa Zulejka nie wydała żadnego głosu trwogi, żadnéj skargi; nawet, gdy oddalony od gadziny odpocząłem cokolwiek, rzekła płacząc i pocieszając: »Patrz kochanku jaka litość Ałły nad nami! Zesłał potworę tę nie dla zniszczenia swoich wiernych stworzeń, lecz ażeby dać nam dowód że powietrze mniéj tu jest zatruwające, jakeśmy się obawiali.«

Dostaliśmy się właśnie na szczyt góry i z tamtąd poglądaliśmy na gadzinę. Bałwanowaty swój ogrom tak prędko rozwijała za naszémi krokami, jak tylko mogła ciężkiém cielskiém swojém to uczynić. Raptem zatrzymała się, wychyliła szyję i pojrzała ku nam, jak ten, co ma coś okropnego na myśli i zastanawia się na chwilę, jak to do tkutku doprowadzić. Po czém zwróciła się ku ponuremu strumieniowi, zapienioną paszczę zanurzyła w wodzie i powoli, ale długo, piła. Zmordowana ściganiem nas chciała napojem nowe siły odzyskać, by tém raźniéj na uszłą zdobycz się rzucić. Znowu toczyła się ku nam, a ja znowu z moim lubym ciężarem naprzód uciekałem, by z góry prędko na dolinę się dostać. Gadzina jeszcze nas ścigała, ciągle jeszcze i co raz bliżéj posuwała się ku nam, aż nareszcie szelest jéj pierścieni słyszałem już odbijający się po kamienistéj płaszczyźnie. »O Ałła! O Zulejko!« zawołałem, a obróciwszy się, z rozpaczy, chciałem z nieprzyjacielem walczyć; ale gadzina przestała poruszać się daléj, jak gdyby wzrokiem śmiertelnéj trwogi mojéj, za pomocą siły czarodziejskiéj, w kamień zmienioną została. Wydała długie i okropne gwizdnienie, ton, zdający się być naturalną mową téj zniszczonéj samotni, a potém głosiła trwożliwe jęki boleści śmiertelnéj. — Zaczęła wić się po ziemi, ślepia jéj pałały ogniem piekielnym, a co chwila, widocznie nawet, gasł połysk świetnego jéj stroju. Pianą okrywała piasek, ogonem z bezwładną wściekłością biła kamienie, a łeb jéj dumnie do góry wzniesiony co raz niżéj ku ziemi upadał. Dopiéro doszedłem powodu téj zmiany, napiła się z zatrutego strumienia, którego czarne odmęty dały jéj napój śmiertelny, nam zaś życie i nadzieję wróciły. Natężyła raz jeszcze ostatnią władzę życia, zwita w kłębek skoczyła w rozpaczy, jeszcze myśląc rzucić się na zdobycz, ale wnet w wieczne milczenie zapadła, tak brudna i pozbawiona kolorów, jak piasek puszczy, który ją na łono swoje przyjął.

Noc nadeszła — noc usypiająca cierpienie, ciemnym płaszczem swoim okrywająca bladą troskę; nadeszła! a za nią w kwiecistéj koronie światów błyszczących ukazał się księżyc.

Gdy po wielokrotném natężeniu opuściliśmy ponury wąwoz doliny, ujrzeliśmy się znowu na otwartém polu, gdzie zmordowani odpoczęliśmy, a ja tym czasem przyglądałem się otaczającym nas scenom. Na płaszczyźnie téj już nic wcale nie rosło. Strumień ponury bez pomruku nawet posuwał się po niéj, brudnawy piasek tu był czarnym, a mgła siwawa okrążała szczyt skały. Wesoły wietrzyk, wiejący przed nami, zaczął obumiérać. Nie widzieliśmy żadnego krzewu, żadnéj rośliny, nawet trawki żadnéj, któraby do nas słodką pociechą przemawiała: »Dzieci! jeszcze znajdujecie się w obrębach ziemi macierzystéj!«

Ale gdyby te tylko były okropności okolicy, bylibyśmy wytrzymali je. Po pieczarze, którąśmy opuścili i danych mi znakach, poznałem, że połowę wędrówki naszéj odbyliśmy i znajdujemy się jeszcze tylko o trzy mile od drzewa okropnego. Smutne godła blizkości jego co raz widoczniejszémi były, bo zmordowani co raz częściéj musieliśmy odpoczywać; niekiedy zdybywaliśmy trupieszejące szczątki ciał

ludzkich. Starałem się oczy Zulejki od tych przedmiotów odwracać, lecz co raz więcéj mnożyło się ich — a uciekając od jednego trupa napotykałem drugiego, jeszcze więcéj oszpeconego i dopiéro właśnie psującego się. Tak głębokie było milczenie téj okropnéj okolicy, że głos wyrazów własnych przerażał nas, z początku zaledwo słyszanych a potém w cichém tylko szeptaniu ginących. Obawialiśmy się, by nim ducha okolicy nieobudzić. Powietrze także było tak umarłe jak ziemia. Olbrzymie naokoło góry podobne były do desek trunny.

Pierwsze promienie poranku słabo wyzierały z poza czarnéj obnażonéj skały. Spodziewałem się przed dnia przyjściem dostać się do drzewa, bo noc była przyjaźniéjszą wędrówce naszéj, niżli dzień ze swojémi pałającémi promieniami słońca. Osłabione siły moje i Zulejki, nieprzyzwyczajonéj do takich trudów, groziły zupełném opuszczeniem nas. Tymczasem już bardzo blizko byliśmy drzewa, a trwoga, z którą ukryć starałem się zmordowanie, członki moje osłabiając, bez rozwagi prawie popędzała mię naprzód.

Z prędkością, jak tylko można, największą kończyliśmy mozolną podróż. W tém bieg rzéki zaprowadził nas przed okropno poważne drzewo upasowe. Serca nasze w podziwieniu i przestrachu skłoniły się przed nim, jak przed bramami królestwa śmierci. Samotnie, ciemniéj jeszcze jak noc najnieprzejrzańsza nawet ponure skały posępną ceniąc powłoką, stało drzewo to jako anioł zatraty i wykonawca zemsty wiecznéj.

Wziąłem puszki z rąk Zulejki i kazałem czekać jéj na mnie, nim uzbiéram żywicy, bo nie uważałem tego za rzecz potrzebną, ażeby i ona wystawiała się na niebezpieczeństwo. Czytałem wyraz boleści w jéj twarzy, gdy ją opuszczać chciałem. Ale uśmiéchnąłem się i z odwagą na blizkie spełnienie dzieła mojego pokazałem, gdy w tém — na Boga, że to nie było omamienie — widziałem wyraźnie, jak ciemne, ogromne gałęzie drzewa majestatycznego, gdyby na powitanie skłoniły się ku nam, a w téj chwili lekki łagodny strumień powietrza przeleciał po obliczu mojém. »Ałła! ulituj się! zawołałem w dzikiéj trwodze śmierci. »Ałła, ulituj się!« powtórzyłem z wyrazem rozpaczy. Uczułem słabą odmianę wiatru i wiedziałem o niebezpieczeństwie téjże.

Stałem samotnie w pobliżu okropnego drzewa, do którego nie śmiałem podnieść oczu; napełniłem właśnie naczynie zatrutą żywicą, i tę w tryumfie Zulejce pokazałem, ale niestety, niedostrzegłem na jéj twarzy uśmiéchu radości, bo zemdlona, na pałający piasek upadła. W konwulsyjnych cierpieniach śmierci przyskoczyłem ku niéj, gdyż nie podobna mi było przeżyć jéj. Usta jéj pobladły, pobladło czoło i lice, jéj ręce były mokre i zimne, słabe poruszenie muskułów drgało tylko po jéj obliczu, ale czucie zdawała się miéć jeszcze. Potarłem wodą jéj skronie i kilka kropel wina do ust jéj wpuściłem.— Powoli przychodziła do siebie.« Kochanku« rzekła z cicha »nie baw się dłużéj przy mnie, bo uratować mię nie możesz i sam jeszcze na niebezpieczeństwo wystawisz się. Naczynie twoje napełniłeś, powróć więc, a mnie tu zostaw, bo się już nigdy nie podniosę. Drzewo upasowe ucałowało mię i umrzéć muszę w jego okropném uścisku.«

Schyliłem głowę ku ziemi i pośród modłów uroczystych omdlałą małżonkę podniosłem ku niebu, oczekując z pewnością lub nagłéj śmierci, lub ocalenia nagłego. W téj chwili wicher gwałtowny rozdął szérokie konary okropnego upasa, odchylając ogrom jego od czekających ofiar. Zdrój obumarły zaczął upływać, ciesząc się chłodnym wiatrem, muskającym jego drżące nurty. Piasek kręcony wirem ulatywał, huk gromu odbrzmiewał wielokrotnie po skałach, w chwili, gdy błyskawica mgliste wyziewy drzewa rozdziérała. Po krótkiéj przerwie usłyszałem głos umierającéj Zulejki: »Czy ty jeszcze przy mnie Abdallo? O mój kochanku! prorok przybywa świat sądzić; módl się, ażeby nas nie zniszczył.« —»Nie on to przybywa najdroższa« głosem żałości największéj zawołałem »nie on to przybywa! Niech biją te gromy, nam brzmią one w najmilszych akordach radości!«

Wiedziałem, że niebezpieczeństwo

przeminęło, albowiem wzburzeniu żywiołów winni byliśmy ocalenie nasze. Udaliśmy się powtórnie do bezwładnego już teraz drzewa upasowego, gdyż Zulejka nie chciała pozwolić, ażebym sam chodził drugie naczynie napełnić.

Wracaliśmy. Burza odświéżywszy powietrze pokrzepiła i moje nadwątlone siły, z nową odwagą Zulejkę na rękach nieść mógłem. Dostaliśmy się nareszcie do pagórka, ostatniéj granicy owéj straszliwéj doliny i gdyśmy weszli na szczyt jego i porównywali opuszczoną właśnie okropną okolicę ze śmiejącémi się niwami świata, na których ludzie żyli, wylewaliśmy łzy podzięki i radości i na kolanach modły i dusze nasze wznosiliśmy do tego, który nas w puszczy zachował, do Boga litości i łaski. Jednaki zapał ożywiał serca nasze, wiara jéj była i moją, i jednę tylko mieliśmy myśl, tak jak dawniéj jednę duszę. Modliliśmy się razem, razem płakaliśmy i czuliśmy to, co ci tylko zrozumiéć mogą, którzy nieszczęścia podobnego doznali.

Gdyśmy do chaty Muleja powrócili, zaledwo oczom swoim wierzył, a żołniérze tak byli zdziwieni powrotem naszym, iż to za cud uważali, zdziałany świętością Zulejki. Na rękach nieśli nas przez ulice, wygłaszając łaskę Najwyższego, tak że nasz powrót raczéj był podobny do pochodu tryumfalnego, niżli do powrotu dwojga na śmierć skazanych.

Tym sposobem przybyliśmy do pałacu Sura Charty. Orszak nasz co chwila pomnażał się, a lud na odgłos ocalenia naszego podziwieniem przejęty, całując z uszanowaniem szaty nasze obstawał za tém, by nas do sułtana zaprowadzono.

Sułtan przyjął nas z ponurém zadziwieniem, podobném raczéj do trwogi. Już nie mógł prześladować nas dłużéj. Drogo opłacone naczynia postawiwszy u nóg jego, słyszeliśmy, jak nam wahającémi się usty przebaczenie ogłaszał. »Spełniliście wyrok sądu« zawołał »i jesteście wolni. Żyjcie odtąd w krainie ojców waszych!« — »Sułtanie« odrzekłem »spełniliśmy wyrok sądu, ale nam jeszcze jego łaska pozostaje. Dwie mamy prożby, na które władzca pozwolić obowiązany.« — »Proś« odrzekł ponuro »nie jest w mocy mojéj zabronić ci tego.« Prosiliśmy o pozwolenie opuszczenia wyspy na zawsze.

Udaliśmy się do Enganho, onéj okropnościami opasanéj oblubienicy oceanu.

Osiedliśmy między dzikimi jéj mieszkańcami, a sztuki życia, któremi ich zbogaciłem, wyniosły mię do godności ich naczelnika. W środku kraju swojego wdzięcznémi rękoma wznieśli mi pałac, gdzie Zulejka, ukochana małżonka moja, z dziećmi naszémi mieszka. Ciągle zwiedzam chatę na brzegu dla przestrzegania cudzoziemców wylądować chcących, lub dla ocalenia ich od śmierci, któréj bez pomocy z wyspy ujśćby nie mogli. Żaden okręt nie może zbliżyć się do nas bez sternika z Enganho. Okoliczności téj i bojaźni Jawańczyków winnien jestem szczęśliwość moję i tak więc żyję pod opieką tego Boga miłosierdzia, którego oko czuwa nad puszczą i którego nawet usta dzikiego człowieka błogosławią.

Zabobony tegoczesnych Greków.

Teraźniéjsi Grecy mają wielką ilość zdań zabobonnych, które po przodkach swoich odziedziczyli, a niemało znowu takich które sami do tego poutwarzali. Cobądź pięknem jest lub dobrém pochodzi wedle ich zdania z nieba przez aniołów, równie jak powietrze, grzmoty, trzęsienia ziemi przypisują wpływowi złych duchów, o których nawet wspominają ze drżeniem, i szczęście jeszcze tylko, iż pewnym kadzidłom moc odganiania tychże przypisują — w czém całą pokładają ufność.

O rogach mówić na wschodzie jest nader niebezpiecznie, gdyż równie Grecy, jak Turcy i Żydzi wstręt mają od nich. Na widok ślimaka wzdryga się Grek, a Żyd na piersi sobie plunie zobaczywszy rogi jelenie.

Każda rodzina grecka miasto bogów domowych swych przodków, posiada teraz relikwije którym równie jak poprzednicy, tamtym, wszystko dobre, na dóm spływa-

jące, przypisuje. Młoda Greczynka, czując piérwsze wzruszenia serca, poséła przez swą wychowawczynią placki i mąkę do tajemniczéj pieczary, na ofiarę Moirom (Μοιραι), boginiom losu, by jéj męża zesłały. Nowożeńcy wzywają też same boginie o pobłogosławienie małżeństwa płodnością. Jeżli urodzi się dziécię rodzicom, dopiéro poczyna się cały łańcuch obrządków zabobonnych. Pod poduszkę nowonarodzonego kładzie się chléb, pieniądz złoty i szpada, to jest, by mu szczęście, dobytek i siłę nadać. W dni pięć po połogu obchodzi się święto *Amphidromia*, jak ono, gdzie u dawnych Greków mamka lub baba z dziecięciem w około palącego się stosu pięćkroć obleciéć musiała. Następują potém odwiédz ny Moirów. Najuboższa chata w onczas przybiéra postać jakby do uczty, na przyjęcie tych dam, których zresztą nikt nie widzi. Przychodzą one odjąć położnicy mléczną febrę. Lecz nie zostawia się w dzień ten, sam na sam, do przyjęcia bogin, położnicy — bowiem te kobiéty, lubo są skromne i stare, mogłyby jéj kark skręcić, gdyż zazdroszczą zaślubionym rozkoszy macierzyńskiéj.

Takto zabobony zatruwają Grekom każdy krok życia i każdą czasu porę. Sami katują się utworami własnéj wyobraźni, i nie zaprzestaną tego aż kiedyś otoczeni błogiémi promieniami prawdziwego oświécenia, sami nad własne wzniosą się przesądy.

Jabłoń w St. Walery.

W St. Walery nad Sommą, we Francyi, rośnie jabłoń, o któréj właściciel nie wié, z kąd się wzięła i która może miéć lat cztérdzieści. Jabłoń ta zupełnie do zwyczajnych podobna, lecz kwiatom jéj brakuje listków i nasion środkowych *(stamina)*. Składają się tylko ze czternastu szypułek obciągniętych u dołu dziesięcią razem rosnącémi listkami. To było powodem nieurodzajności drzewa, aż nareszcie lekarz pewien podał przypadkowie tę radę, ażeby nasieniem innych jabłoni nieurodzajne drzewo to sztucznie upłodnić. Skoro to zrobiono owoce urodziły się i odtąd jest to prawie uroczystością dla kobiét i dziewcząt z St. Walery zatrudnienie podobne odbywać. Przybywają z zakwitłémi gałęziami innych jabłoni, z listkami kwiatowémi i szypułkami, na których nasienie znajduje się, uzbiéranémi w pogodzie. Upłodniwszy tym sposobem drzewo każda kobiéta gałąź swoję wstążką obwiązuje, ażeby wiedziała w jesieni, która jéj gałąź i wiele owoców wydała. To nazywają tam *faire sa pomme* i jest to pewnym rodzajem gry hazardowéj, albowiem trudno jest wszystkie kwiaty upłodnić; ale i nie każdy owoc dojrzeje. Tym sposobem uzyskane owoce co do wielkości, smaku i formy odmienne są od siebie, albowiem kwiatem z drzew rozmaitych upłodnione zostały.

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— Z Rossyi. —

Podług obrachowań urzędowych było w roku 1830 na jarmarku Niżejnowgorodzkim, za 116.818,000 rubli towarów. Między témi za 17,385,000 azyjatyckich, za 15,433,000 europejskich i kolonijalnych towarów. Za resztujące 84 miliony były rossyjskie. Ze zaś w roku 1828 za 107,383,674, w roku 1829 za 112,054,000 rubli towarów się tam znajdowało, jawnie od roku do roku powiększa się odbyt tamtejszy.

Pewien rossyjski posiadacz dóbr, nazwiskiem Skiadyn, wynalazł mikrometr, którym można mierzyć aż na 1/10,000. Robił z témże doświadczenia na przedmiotach, o których własności najlepsze mikroskopy tylko niepewne dają wyobrażenie; tak okazało się na przykład: iż nić pajęczyny daleko znaczniéjszej jest grubości jak piana złota. Wynalazek ten przewyższa najlepsze tego rodzaju, jako to: Dollanda, Leerbowisa, Voigtlendera, Winklera i Kellera tak dalece, iż niém, bez najmniéjszego natężenia oczu, jak najdokładniéj rozróżniać można różną cienkość wełny.

Jermakowi, zdobywcy Syberyi, mają w Tobolsku wystawić pomnik, który będzie stanowiła piramida znacznéj wysokości. Krata z lanego żelaza ma otaczać do koła monument, a w środku téjże będzie ogród. Piramidę rozkazał cesarz Mikołaj w fabryce w Katarzynogrodzie na koszt gabinetu wyrobić, a na zrobienie podnóża rozpisana będzie subskrypcyja we wszystkich gubernijach.

Dziennik petersburski z dnia 24. marca b. r. zawiéra następujący artykuł:

„Udzielono nam wyciągu z listu, pisanego przez jednego z członków naszego poselstwa kościelnego do Chin, z Pekinu z dnia 1. grudnia 1830:

Przyjemne spotkanie się przygotowano nam w Tsynkbe, jedném z przedmieść stolicy chińskiéj, gdzie przybyliśmy na dniu 18tym listopada; tam bowiem oczekiwali nas wszyscy nasi ziomkowie: lekarz Woitsekowski, radzca kolegialny, który umiał zjednać sobie ogólnie zaufanie w Pekinie i który zasłużył na pomnik w pałacu poselstwa w

dowód wdzięczności za wyleczenie jednego z najpiérwszych tegoż członków, niemniéj uczniowie Leontewsky i Woznesensky, wraz z członkami dawniéjszego poselstwa kościelnego. Ci nam towarzyszyli aż do cmentarza rossyjskiego, położonego przy samych bramach Pekinu, gdzie wiel. ojciec Benjamin przywitał nową swą trzodę. — Poselstwo udało się w pochodzie obchodowym do miasta, duchowni w powozach, świeccy konno poprzedzeni przez dziesięcin Kozaków pod przewodnictwem officéra.

Tłum ciekawych prowadził nas do pałacu poselstwa rossyjskiego, odznaczającego się przepyszną budową i prawdziwie wspaniałą pojedyńczością; czcigodny archimandryta Piotr, z wielu osobami dawniéjszego poselstwa, przyjął nas przy wstępie do pałacu — pośpieszyliśmy do świątyni, by oddać dzięki Wszechwładnemu za dozwolenie nam szczęśliwego przybycia i wznieść oraz błagalne modły o błogosławieństwo dla naszego monarchy a pomyślność i sławę ojczyzny.

Niezdołamy nigdy w miarę wychwalić troskliwéj staranności chińskich urzędników, co się tycze dostarczania nam potrzeb przez ciąg całej podróży — równie jak niepotrafimy wywdzięczyć się za wyszczególniające obchodzenie się z nami Hussaja Ambagna, nadzorcy wojska w Khalthane i gubernatora Merane-Zanguigna.— Z rozkoszą uwiadamiamy ziomków naszych o wysokim szacunku, w jakim położone jest nazwisko Rossyjana w odległym Chińczyków kraju.

— Z Niemiec. —

Góry się chwieją! Nie daleko wsi Paulsfeld, w obwodzie bawarskim Lichtenfels, poruszać się nagle poczęła znaczna góra. Przestrzeń mająca koło 800 kroków, z lasem, sadami i polami, zsunęła się wprost na wieś. Szczęściem mieszkańcy podołali uciéć, a jeden tylko dom zupełnie zgruchotanym został.

W Koburg niedawno pewien rozpaczający krawiec padł na rzadką myśl zastrzelenia się igłami. Uczynił to, i umarł śród okropnych męczarni.

Podług najwyższego rozporządzenia zakazano odtąd przedstawiać na teatrach publicznych w Bawaryi sztuki, których treść wzięta jest z dziejów starego testamentu.

— Z Francyi. —

Sapery pułków wojska francuzkiego, na przyszłość, wybiérani będą wyłącznie z rzemieślników, znających się na obrabianiu drzewa i żelaza. Stracą wprawdzie swe tak powszechnie sławne brody, lecz zatrzymają wielkie wąsy. Spodziewają się, iż chętniéj przystaną na utratę bród, niż strelicy, gdy ich Piotr wielki zmusił do tego.

Niedawno pewien mężczyzna z żoną i córką jechał lasem koło Marly. Niespodziany strzał pistoletowy, wylatujący z gęstwiny, zranił mu ramię. Kazał woźnicy pospieszać, wtym pada drugi wystrzał i rani córkę jego w plecy, a wkrótce trzeci uszkadza matkę. W tak okropnym stanie przybyli do najbliższej wioski, gdzie wszelką dano im pomoc. Wysłane żandarmy przebiegły las, i schwyciły sprawcę. Był to młody człowiek, który czyn ten popełnił z zemsty, kochał bowiem córkę, a rodzicy dom mu wypowiedzieli. Niegodziwy nie ujdzie zapewne galerów.

Pewien kupiec paryzki zaleca swój rzadkiéj piękności złoty atrament, jako przewyborny do pisania miłosnych bilecików. Jeden z dzienników czyni uwagę, iż dobrze by było, gdyby mexykańskie towarzystwo górnicze, tym atramentem pisało swe akcyje, ażeby akcyjonaryjusze przynajmniéj na papiérze widzieli coś złotego.

— Z Hiszpanii. —

W Hiszpanii był, a może i jest dotychczas zwyczaj, iż przy końcu obiadu obnoszą słomę do wykłuwania zębów. Pewien Francuz, nieświadom tego zwyczaju, wchodzi w dom znaczny i pyta lokaja; czyli może służyć panu?— „Jest przy stole, odpowie tenże: ale wkrótce gotów będzie, bo już dano słomę.“ — „Dopiéro słomę? Kiedy tak, więc mogę jeszcze zrobić interes, nim zje owies.“

— Z Anglii. —

Roczną ilość rosy, padającej rocznie w Anglii, liczą w przecięciu prawie na 5 cali, co wynosi prawie 1/7 część wilgoci, którą Anglia z powietrza otrzymuje, czyli na 22 beczek, każda po 252 gallony ? ? ? —

W sławnéj mennicy w Londynie wszelki ruch tworzą machiny parowe, a ogólna siła, wydana przez nie, równa się sile 54 koni. Prasy czynią 60 uderzeń na minutę, tak iż ośmiu moneciarzy, mając do usługi ośm małych chłopcząt, mogą w godzinie 28800 a we 24 godzinach (robiąc bez ustanku) 691,200 sztuk monety wydać. Weźmy naprzykład: iż to są gwinei, więc mennica ta wydaje w dniu jednym do 8 milionów reńskich.

Pan Vildeman ukazał niedawno, na posiedzeniu towarzystwa sztuk w Londynie, trzy roje pszczół, które częściami na twarzy, na całem swém ciele i nawet w kieszeniach miał przy sobie. Kazał trzy ule w przyległéj przygotować sali, a skoro gwizdnął, opuściły go roje, i każdy do jednego udał się ula. Na powtórne zagwizdanie wróciły się na dawne miéjsca. To doświadczenie kilkakrotnie powtarzał, i ani sam, ani nikt z przytomnych ukąszonym nie został.

W bliskości Brightonu wynaleźli ptasznicy osobliwszy sposób wabienia skowronków. Biorą szybę szklanną, zasadzoną wolnie na kij i obracają podczas, gdy blask słońca na nią pada, jak podołają, najprędzéj. Te ptaszęta, widząc blask ten, z największéj nawet odległości się zlatują i bardzo łatwo strzelane lub w sieci łowione być mogą.

— Z Afryki. —

Listy z Algiéru donoszą: Ukształcone i dowodzone przez Issufa kompanije Mameluków, będą odtąd wspólnie z wojskiem françuzkiem odbywały służbę, i będą tworzyć bataliony kolonijalne. Dej nie poznałby Algiéru, gdyby powrócił teraz nazad. Wszystko jest zmienione — przystań która przedtym dziki i ponury przedstawiała widok, jest teraz ożywioną i wesołą, okręta wojenne, statki kupieckie, pstra rozmaitość różnych bander, krążenie ludzi, różność strojów bardzo miłym oku ten obraz czynią. Malta znajduje tu swe grona, Hiszpanija swe andaluzijski, Marsylia swe wino i likwory. Algiér zaludnia się europejskiemi pięknościami, które codziennie przybywają, ukazują się one zwykle najprzód na wałach po za bramami miasta; bowiem wewnątrz murów nigdzie nié ma i drzewka, któreby ocieniało przechodnia przed niszczącym skwarem afrykańskiego słońca. Prawie ciągle trwa tutaj czas piękny, deszcz trwa zwykle ledwo dwa lub trzy dni. Podług obliczeń znajduje się tu jeszcze do czternastu tysięcy wojska: piechoty, jazdy, artyleryi, inżynieryi i Mameluków razem.

— Z Ameryki. —

Teatra prywatne są zakazane w Ameryce północnéj. W przypadku dowiedzenia się o takiej wystawie przedstawiający i widzowie razem aresztowani zostają.

Podług obliczeń dziennika: New - Montly - Magazin, od czasu zaprowadzenia statków parowych w Ameryce nie mniéj, jak 1500 osób przez pękanie machin utraciło życie. Liczba ta jest większą jak w całej Europie, co przypisują używaniu machin z wysokim naciskiem, i niedbałości w urządzeniu kotłów.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.